

# Z drzeworytni Andrzeja Nowickiego

Na wernisażu odbędzie się pokaz etiud: "Odbitka z elipsy" (3 min.) i "Kloc" (4.30 min.) z motywami muzycznymi Marka Starzyka (który przez 15 lat prowadził muzyczną audycję nocną "Trzecia strona Księżyca" w Programie Trzecim PR).

Artysta tworzy grafiki, przeprowadza także performatywne działania w przestrzeni.

Poniżej tekst o Andrzeju Nowickim, który ukazał się w "Kalejdoskopie" 1/2018:

Odcisk na rzeczywistości

„Na moją planetę wchodzi się po drabinie. / Tylko powoli, proszę! Bez łamania szczelbi!” – tak zaczyna się „powitanie” na internetowej stronie Andrzeja Nowickiego. I rzeczywiście – próbując zrozumieć jego twórczość, musimy nieco unieść się ponad ziemię.

Niekoniecznie pomoże rozmowa z artystą, który ma swój specyficzny świat – przemyślany wprawdzie i poukładany, ale ocierający się o metafizykę na tyle, że niełatwo mu go wyrazić wprost. Dlatego w dużym stopniu trzeba opierać się na własnych przecuciach. Sam dopuszcza taką sytuację: – Jak Apelles chowam się za obrazem i słucham, co inni mówią. A zatem...

Najważniejsze jest spotkanie z drugim człowiekiem – nie sztuka, nie filozofia nawet. Ale tylko takie prawdziwe, rzadko się zdarzające spotkanie dwóch dusz, na które trzeba czekać latami. Tak zdaje się myśleć Andrzej Nowicki, którego – choć w drewnie wycina graficzne matryce – nie można nazwać po prostu drzeworytnikiem. Bo nie są to tylko matryce, jakie znamy z historii sztuki – w jego rękach obrabiane latami drewniane bale zyskują formę dużych kul pokrytych wklęsłymi rysunkami, z wmontowanymi przedmiotami gotowymi, tzw. wklejkami. „Biblia Księga Kula” składa się z dwóch półkul związanych ze Starym i z Nowym Testamentem. „Kula Koheleta” została zainspirowana postacią mędrca. Ostatnia, czyli „Dąb”, jest już nie tyle kulą, ile ażurową formą, w której matrycą jest także „rzeźbione” wnętrze. Słowo matryca nie przypadkiem pochodzi od łacińskiego mater – matka, a oba te słowa nie przypadkiem mają coś wspólnego z „macicą”. Andrzej Nowicki doskonale wyczuwa tę sytuację – w rozmowie wielokrotnie porównuje matrycę do kobiecego łona, z którego wychodzi życie.

Idea matrycy-kuli narodziła się, bo płaska przestała artyście wystarczać. Nie chciał po prostu powielać, jak robi się to za pomocą walca czy stożka. Kula tego nie potrafi, i to właśnie go zainteresowało. – Kiedyś napisałem, że kula nie jest bryłą. Zaprzeczyłem Euklidesowi i byłem z tego dumny. Wolałbym powiedzieć, że kulą jest macica albo matka. Bo kula, według Andrzeja Nowickiego, jest związana z tym, gdzie człowiek się konstytuuje. – Nie powstajemy w sześcianach. Gdy odrzucimy myśl, że kula jest bryłą, to może być ona niedoskonała.

Stąd niedoskonałość kul drzeworytniczych. Pierwotnie Nowicki toczył ciężkie kule po papierze czy tkaninie, żeby same drukowały. Potem narodził się pomysł na tulenie matrycy, czyli okrywanie jej tkaniną – nową sytuację w grafice, wywodzącą się od pierwowzoru słowa druk. – Wychodzimy od drucken, czyli nacisku, do pierwotnego znaczenia, czyli drücken – tulić. Z tym że dla Nowickiego odbitka z matrycy w zasadzie nie jest istotna. To tylko kopia, a ona dziś – gdy świat zaśmiecają niezliczone reprodukcje – jest zbędna. Dobrze ilustruje to jego postępowanie z kulami. – Pojechałem

nad morze i toczyłem kulę na brzegu. Najważniejsze, że wszystko, co odcisnęło się w piasku, rozmywały fale. Gdy obejrzałem się za siebie, już nic nie było.

Chodzi zatem o myśl, filozofię sztuki, o jej metafizyczny odcisk na rzeczywistości. W takie myślenie wpisuje się wspomniana niemożność jednorazowego odbicia w całości kulistej matrycy – co według autora jest w kulach najpiękniejsze. Ważna jest dla niego taka niemoc, nieograniczenie, ulotność – wymykanie się konkretyzacji.

Ceni też ułomności. – Tu – wskazuje na „niedokończone” miejsce na jednej z kul – nie wiedziałem, co zrobić i tak zostało. I dobrze. Ułomność to część człowieka. Gdzieś musi być jakiś uszczerbek. Nawet w biografii.

Zdaje się, że w stosunku Andrzeja Nowickiego do sztuki miesza się pierwiastek konceptualny z podejściem artysty naiwnego, ludowego, dla którego twórczość jest naturalną wypowiedzią, częścią świata. Jego sztuka nawiązuje do sztuki prymitywnej – postaci, budynki rysuje mocnym konturem i wypełnia (lub nie) czernią. Zwykle nie ma tu światłocieni, niuansów, zbędnych detali. Tylko to, co konieczne. A jest profesjonalnym artystą po Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi – jego mistrzem był Andrzej M. Bartczak. Obu twórców łączy wizja sztuki jako elementu pewnej całości, sumy własnych doświadczeń, przemyśleń, oddanie hołdu naturze i kulturze.

Prace Andrzeja Nowickiego są zwykle czarno-białe – jaki ma zatem stosunek do koloru? – Chińczycy, którzy kilka tysięcy lat temu wprowadzili malarstwo monochromatyczne, twierdzą, że w odcieniach czerni są barwy. I to jest prawda. Można wykonać taką grafikę albo fotografię, że w czerni i bieli jest wszystko, a kolor by je zabił. W grafice jest trudniej, bo trzeba to narysować. Rysunek jest linearny – czyli czarny i biały. Można czerń i biel zastosować w sposób prymitywny, albo wyrafinowany, tak, że wystarczą za wszystkie kolory świata. – Przystudiowałem sto modeli koloru powstających od średniowiecza do współczesności. W każdym na jednym biegunie jest biel, a na drugim czerń, reszta to spektrum barw.

Modele można podzielić na dwa rodzaje: to, co zostało po Newtonie, który odkrył widmo z pryzmatu, i to, co było przed nim – w XVII wieku Forsius skonstruował model oparty na teorii Arystotelesa: to, co gnije, rozpada się, dąży do czerni, a co idzie ku słońcu, dąży do bieli. Wolę model Forsiusa według zgnilizny i jasności słońca, bo Newton jest „kłamcą”. Koło barw to bzdura – tęczą to nie koło, on ją naciągnął. Kolory włoskie, czyli siena, umbra, żółć neapolitańska pochodzą od gliniek – co ma do tego Newton? W sztuce możemy iść fizyczną drogą Newtona, albo naturalną. Tak samo jest z czernią i bielą.

Gdy rysunek jest dobry, wszystko wychodzi, jak trzeba. Jednak nie zawsze sprawy układają się po myśli artysty. – Nie jest tak, że codziennie chodzę do pracowni ze śpiewem na ustach i robię drzeworyty, tylko w 99 procentach się zmuszam. Ale to jest normalne. Chrystus mówił, że wiara przychodzi i odchodzi. Musi być sinusoida. Nie mogę powiedzieć, że kocham żonę cały czas na maksymalnym poziomie.

Żona bywa zresztą modelką. Artysta pokazuje grafiki, które lubi. Jest na nich żona śpiąca w różnych pozycjach. Gdy się budził, obserwował, jak interesująco układają się jej ręce. Siebie samego także odtwarza – rozbiera się do naga, staje przed dużym lustrem w pracowni na poddaszu domu w Pabianicach i rysuje. Postać Nowickiego można dojrzeć choćby na ażurowej kuli – trzyma swoją lalkę drukującą, o której za chwilę. Jego głowa będzie też ważnym elementem dopiero realizowanego dzieła. Na deskach powstają ryty, które, odbite na batyście, ułożą się w 30-metrowy fryz ze swego rodzaju mapą Pabianic. Całość ma być gotowa za 3-4 lata.

Podobne prace już kiedyś powstały. Na jednym z filmów zamieszczonych na stronie internetowej

Andrzeja Nowickiego widać, jak owija drzewo długą grafiką, na innym dwie osoby przeciągają taką odbitkę między drzewami. – Kapitalna sprawa. W ten sposób film staje się odbitką. Teraz chcę pójść z nową grafiką w miasto. Będzie przeciągana po latarni, po jakiejś dziewczynie. Chodzi o to, żeby piękno kultury weszło w piękno natury. W lesie natura to drzewa, w mieście – budynki. – Będę chodził po Pabianicach ze swoją głębią i przytulał się do zabytków.

Chodzenie po mieście i „pieczętowanie” sztuką przestrzeni także już się odbywało i zostało sfilmowane. Andrzej Nowicki spacerował np. po Łodzi z lalką drukującą, sadząc ją koło pomników wielkich łodzian na Piotrkowskiej: przy Tuwimie, Reymoncie, Rubinsteinie, Jaraczu. Lalka jest m.in. interpretacją wersetu z biblijnej „Pieśni nad Pieśniami”, w którym oblubienica mówi do oblubieńca, by ją położył na sercu jako pieczęć. A pieczęcie od dawna fascynują Nowickiego. – Jak pokazać, że ktoś tak kocha drugą osobę, że chce być pieczęcią na jej sercu? Oblubienica tego nie wykonała, to był tylko zamiar. Ja to wziąłem do realizacji. W kulturze hebrajskiej „Pieśń nad Pieśniami” to największa świętość. Jest nawet mowa, żeby jej nie tykać. Mają rację, dlatego schowałem lalkę. Potem zastanawiałem się, co może być podłożem dla niej jako pieczęci. Stały się nim rzeźby uliczne, a film – odbitką.

Kukła była też artystką – w filmie „Jazda figurowa” sunie na plecach po lodzie w różnych pozach. Drewniana lalka drukująca wielkości człowieka, choć jest matrycą, wygląda jak rzeźba. – Można to tak określić, od tego się nie ucieknie. Ale rzeźba służy czemu innemu niż matryca. Kule również można – wbrew intencjom autora – odbierać jak rzeźby, zwłaszcza że tak jak rzeźba potrzebują przestrzeni i na nią wpływają. Na ciasnym podwórku Andrzeja Nowickiego brakuje im powietrza. – Kulę biorę na wózek i jadę na pole, żeby miała oddech, bo tutaj się dusi, jest niema, to nie do wytrzymania. Jest toczona po trawie czy śniegu, wchłaniając to, co stanie jej na drodze. – Pytają mnie, co będzie we wnętrzu, a ja odpowiadam: wszystko, od gówna, przez pająki, ryby, po wiatr. Przenikanie kultury i natury, wzajemne odciskanie na sobie śladu.

Dwie połówki „biblijnej” kuli spaja kolista „droga krzyżowa”, która nigdy się nie kończy – jak w życiu każdego człowieka. W kuli, w której ważna jest postać Salomona, nieprzypadkowo znalazły się: fragment sznurka, spirala z zegara, metalowe trybiki, kamienie półszlachetne. – Próbował w życiu wszystkiego, w końcu przejechał się na sprawach seksualnych. Ja to tak zinterpretowałem.

Kolejna kula powstała dzięki studiom nad starotestamentową Księgą Koheleta. – On także badał różne stany, zachowania, nadmiar: pił alkohol, oddawał się seksualnie, sprawdzał, co się stanie, gdy będzie bogaty. Wszystko to nazwał marnościami nad marnościami. I w tej kuli najważniejszą sprawą jest wiatr, który to rozwiewa. Czyli ulotność.

Ostatnia kula – ażurowy „Dąb” – to „ojcowizna” autora, podsumowanie. – W środku dziadek, tu drzeworyt, jaki zrobiłem, gdy miałem 20 lat, tu wklejki ojca, jest matka i jestem ja z lalką drukującą. Tu jeden biegun z przyklejoną częścią opony, a po drugiej stronie Matka Boska, czyli sacrum i profanum. Nie da się tego wszystkiego opowiedzieć w pigułce.

Dzieła Andrzeja Nowickiego są takie, a nie inne, bo powstają w tym, a nie innym miejscu. Miejscu twórca przypisuje ogromne znaczenie. Ono kształtuje, stwarza człowieka i należy być mu wiernym. – Albo artysta trzyma się miejsca pazurami i zębami, jak Nikifor, albo go nie ma. Jego miejscami są rodzinne Pabianice, gdzie mieszka i pracuje (nie tylko na swoim poddaszu, ale i w zawodowej szkole specjalnej), poza tym Chechło i Pawlikowice, gdzie jest tartak, w którym zdobywa specjalne deski na matryce i który nazywa swoją Carrarą. – Ja drzeworytów nie zrobię gdzie indziej, bo tam jest inna kultura. Możesz jeździć po świecie, ale nie zapominaj o swoim miejscu.

Miejscem Andrzeja Nowickiego przez 17 lat była też ulica Piotrkowska w Łodzi, a konkretnie jego

Drzeworytnia pod numerem 59 – galeria, pracownia i miejsce spotkań w jednym. Zamknął ją i sprzedał lokal około 2006 roku. – Nie miałem z kim współpracować – przez te lata nikt nie przyszedł, żeby mu zrobić wystawę. To też moja wina, bo trzeba mieć charyzmę, widocznie ja jej nie mam. Poza tym Łódź to nie Warszawa czy Kraków. W Drzeworytni bywali ważni goście, jak Nika Strzezińska. Ale dla Nowickiego to bez znaczenia. – Napisałem utwór o Władysławie Strzezińskim i zrobiłem poświęcony mu wieczór, na który zaprosiłem jego córkę. To sytuacja przypadkowa, nie współpraca. Utwór – bo Andrzej Nowicki zajmuje się także pisaniem. Bywa poetą, pisze teksty teoretyczne, wydaje niskonakładowe książki poświęcone grafice.

Nie lubi nowoczesnej technologii i pośrednictwa – preferuje rozmowę w cztery oczy, zamiast zrobić zdjęcie, przerysowuje motyw, który chce zastosować w grafice. Ma też pewien problem z grafiką komputerową. – Muszę z tego jakoś wybrnąć. Nie można uznać, że komputerowa jest be, a tradycyjna och. Dzisiaj pojęcie grafiki jest szerokie. Zatem czym ona jest? Chodzi o powielanie, powtarzanie, czy może to wszystko zmierza do momentu zapłodnienia, czyli spotkania formy z podłożem – i wtedy jest grafika, a potem tylko nakład?

Ale kamery nie odrzuca, bo ona daje mu nowe możliwości. Filmów, które pogłębiają sens jego sztuki, nie kręci sam. W poszukiwaniu pierwszego operatora poszedł do Szkoły Filmowej pod salę, w której studenci mieli zajęcia. Znalazł tam Alice Devaux. – Trzeba się wybrać do drugiego człowieka. Tak chwytam oryginał. To jest może nawet ciekawsze niż sam film. Przez telefon czy Internet człowiek zadaje się z trupami.

Artysta nie chce, by powstające filmy po prostu mówiły o jego twórczości, ale żeby same były dziełami sztuki. Poza Alice była Karma Fryc, także z łódzkiej uczelni. Operatorzy muszą się zmieniać, bo ważne są różne podejścia.

Jednym z ciekawszych prawdziwych spotkań w życiu Andrzeja Nowickiego jest to z Tomaszem Bocheńskim, literaturoznawcą, krytykiem literackim, wykładowcą na Uniwersytecie Łódzkim. Profesor pojawia się w dwóch filmach Nowickiego. Ich spotkanie trwa mimo zgrzytów. – Nie do końca wiem, co o mnie myśli, ani on, co ja myślę o nim. I dobrze, i może nie pytać.

Pabianicki drzeworytnik dokumentuje etapy prac przy kulach, prowadzi dzienniki ich budowy – uważa, że przydadzą się, gdy ktoś będzie chciał pisać o jego twórczości po jego śmierci. Wtedy to już będzie spotkanie w innym wymiarze...

**Aleksandra Talaga-Nowacka**